

Jan Maciejewski: Chadecja. Filozofia polityczna zmierzchu. Angela Merkel i Viktor Orban – analiza porównawcza

Pytanie o chadecję wymaga przede wszystkim wcześniejszego postawienia kwestii chrześcijańskiej wyobraźni. Jest ona obecnie zamknięta między scyllą moralizującej przypowieści (Merkel) a charybdą zimnego, pragmatycznego projektu (Orban). Jedynym rozwiązaniem łączącym obie te perspektywy – etykę i cywilizację, moralność i politykę – jest potraktowanie przypowieści i historii biblijnych nie jako moralizatorskich czytanek, ale właśnie przypowieści – pisze Jan Maciejewski w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Epoka Merkel”.

Deja vu to powinny być chwile, a tu rzecz ciągnie się już tygodniami: tej jesieni powrócił z całą mocą 2015 rok. Znowu trwa konkurs chopinowski, Maciej Skorża jeszcze raz zasiadł na ławce trenerskiej Lecha Poznań, a głównym tematem serwisów informacyjnych stał się kryzys migracyjny. Czas nie jest jednak kołem, tylko spiralą, więc wszystko wygląda inaczej. W Filharmonii Narodowej brakuje eterycznej Kate Liu i – parafrazując wieszczka - „już nigdy nie będzie takiej sonaty b-moll”, Kolejorz zamiast znajdować się na ostatnim miejscu uparcie prowadzi w tabeli Ekstraklasy, a ton i emocje towarzyszące dyskusji „wpuszczać czy nie wpuszczać” radykalnie się zmieniły. Pewne rzeczy pozostają jednak niezmiennie, a jedną z nich jest bezradność z jaką stajemy wobec kryzysu uchodźczego.

Musimy albo nauczyć się tej zrezygnowanej odwagi bycia biednym, albo znów odnaleźć w sobie tę nieugiętą odwagę bycia bogatym. W obydwu przypadkach miłosierdzie zwane chrześcijańskim okaże się bezsilne. Nadchodzą okrutne czasy.

Fragment przedmowy Jeana Raspaila do jego powieści „Obóz świętych” definiuje wyzwanie przed jakim stoi europejska chadecja. A chwila, gdy zostało jej ono z całą stanowczością rzucone jest tą samą, w której przypomniano sobie o książce francuskiego pisarza. Latem 2015 roku drugi program polskiego radia uczynił „Obóz świętych” swą wakacyjną lekturą. Mimo tego, że bynajmniej nie jest to powieść z rodzaju tych, jakie zabiera się ze sobą na plażę. Ale do Europy ciągnęły właśnie tłumy uchodźców, a panujący na starym kontynencie klimat – ton i przebieg dyskusji, padające w niej argumenty religijne, moralne i polityczne – wydawały się być dokładnym powtórzeniem historii opisanej przez Raspaila. Opowieści o starym kontynencie otwierającym szeroko ramiona na spotkanie własnej zagłady. Nie mogącym się doczekać przybycia do jego brzegów „armady ostatniej szansy”. Wielusettyśięczonej fali uchodźców, której nadejście zdaje się wyzwolić Europę od niej samej. Wywołuje społeczny entuzjazm i religijne uniesienie. Kontrastujące z czekająca stary kontynent rzeczywistością.

Choć akcja książki Raspaila toczy się we Francji, to wydany kilkadziesiąt lat później reportaż Robina Alexandra „Angela Merkel i kryzys migracyjny. Dzień po dniu”, zapis prawdziwych zdarzeń lata i jesieni 2015 roku, bardzo nieznacznie różni się od umiejscowionej po drugiej stronie Renu wizji. W tym przypadku to jednak rzeczywistość przelicytowała fikcję. Jak choćby w scenie, która miała miejsce na stacji kolejowej w Turynii. Ówczesny premier tego kraju związkowego, Bode

*Tej jesieni powrócił z całą
mocą 2015 rok. Znowu trwa
konkurs chopinowski, Maciej
Skorża jeszcze raz zasiadł na
ławce trenerskiej Lecha
Poznań, a głównym tematem
serwisów informacyjnych stał
się kryzys migracyjny*

Ramelow, na widok
wiozącego
uchodźców pociągu
traci panowanie nad
sobą, wstrzymuje
płacz i krzyczy przez
megafon do
uchodźców
„Inszallah!” czyli po
arabsku „Tak chce
Bóg”. Wobec ekipy
telewizji regionalnej
Ramelow jeszcze na

*peronie zagłębia się w niemiecką duszę: „Płakałem cały dzień. Tu w
Saalfeld naziści chcieli urzeczywistnić concept stref wyzwolonych
narodowo. Tu w Saalfeld była niejedna próba ustanowienia wielkiej
kultury nazistowskiej jako kultury codzienności. A teraz tu do Saalfeld
przybywa pierwszy pociąg. Uczciwie mówię: to jest najpiękniejszy
dzień w moim życiu.*

Do rangi ikony – epifanii nowego, niedostępnego dotąd wymiaru
rzeczywistości – urastają z kolei słynne selfie Angeli Merkel wykonane
wspólnie z uchodźcami w pierwszych dniach września tamtego roku.
*Zmieniają one raz na zawsze wizerunek Merkel – pisze Alexander – i to
na całym świecie. Już przedtem uchodźcy na Węgrzech machali jej
portretami, lecz dopiero tego dnia „królowa lodu” zostaje matulką
Merkel, patronką uchodźców, Matką Teresą na urzędzie kanclerza.*

Dzieje się dokładnie to samo, co w powieści Raspaila – to nie tyle Europa wydaje się ziemią obiecaną dla migrantów, ale oni samą zaczynają pełnić rolę zbiorowego wybawiciela cywilizacji Zachodniej. Co chwile powtarzana jest tam fraza o „milionie Chrystusów” płynącym do brzegów starego kontynentu. Alexander z kolei stwierdza w pewnym momencie, że Niemcy zaczęli się zachowywać w 2015 roku jakby uchodźcy mieli ich wybawić. Nie tylko od fatalnej, nazistowskiej przeszłości, ale również od losu narodu starców. W piosence, która staje się nieoficjalnym hymnem tamtych dni, „Oni idą za swym jutrem” może chodzić równie dobrze o przybyszy co o tych, do których przybywają. Jeśli przegapimy ów eschatologiczny patos tamtego czasu, niewiele zrozumiemy nie tylko z kryzysu migracyjnego ale i z kondycji współczesnej chadecji. Tej, która opuszczona przez Angelę Merkel poniosła właśnie w Niemczech jedną z największych wyborczych klęsk w swej historii.

Farskie dziecko na kanclerskim fotelu

Grzebanie w biografiiach polityków jest ryzykownym zajęciem. A im wcześniejszego ich okresu to dotyczy – tym ryzyko się zwiększa. Niemniej, w wypadku Angeli Merkel zdaje się być ono warte podjęcia. Jest ona bowiem reprezentantką specyficznej, a mającej kilkusetletnią tradycję wspólnoty. Jej członkami byli między innymi Fryderyk Nietzsche, Herman Hesse czy Carl Gustav Jung. Ich wszystkich łączy z panią kanclerz fakt, że byli dziećmi pastora i wychowali się na protestanckiej parafii. Powstało nawet specjalne, opisujące to zjawisko słowo: Pfarreskind. A na temat psychologii i zadziwiająco zbieżnej wspólnoty doświadczeń „farskich dzieci” istnieje w Niemczech

obszerna literatura. W XIX wieku podliczono, że blisko połowa z ponad półtora tysiąca „najwybitniejszych Niemców” wychowywała się pod czujnym okiem taty-pastora.

Każde z nich od najmłodszych lat przywykło do komunikatów w rodzaju „jutro nie mogę, mam pogrzeb” albo „nie przeszkadzaj, układam kazanie”. Jak w książce „Angela Merkel. Cesarzowa Europy” pisze Arkadiusz Stempin: *Dom-plebania była jednocześnie zakrystią, biblioteką z czytelnią, konfesjonałem, biurem interwencyjnym i punktem pomocy społecznej. Dzieci od najmłodszych lat, nieco przedwcześnie, słuchały opowieści o nienawiści i pojednaniu, wątpieniu i nadziei, o rzeczach ostatecznych: życiu i śmierci.*

A ojciec Merkel, Horst Kasner, był jeszcze do tego przypadkiem szczególnym. Niedługo przed powstaniem muru berlińskiego wyjechał w celach misyjnych z RFN do NRD. Tam z kolei, jak pisze w swej książce Stempin, odegrał główną rolę w procesie odrywania Kościoła ewangelickiego NRD od struktur ogólnoniemieckich. Był bowiem przekonany o istnieniu naturalnej, nieuchronnej symbiozy między chrześcijaństwem a marksizmem. Stąd też przyłgnął do niego pseudonim „czerwony Pastor”. Fascynował się – modną wówczas wśród katolików – Teologią Wyzwolenia. Jeżeli więc jakaś z biblijnych scen przewijała się wśród codziennych rozmów, kształtowała wyobraźnię przyszłej pani kanclerz, to było nią wyjście Izraelitów z Egiptu. Dla teologów wyzwolenia jest to bowiem kluczowy fragment Pisma Świętego. Opis oswobodzenia uciskanej grupy spod opresji obcej struktury. Egiptem były w tym schemacie feudalizm, kapitalizm, imperializm. Izraelitami zaś - robotnicy, biedni czy wykluczeni.

W 2015 roku zaś – uchodźcy. Z kolei Niemcy zaczęły się jawić jako Ziemia Obiecana. Punkt docelowy wielkiej wędrówki. To w tym kluczu należy odczytywać wydarzenia sprzed sześciu lat, towarzyszący im religijny patos. Nie uciekała z resztą od niego sama pani kanclerz, która podczas jednej z debat rzuciła przeciwnikom otwierania przed uchodźcami granicy szorstkie „a idźcież wy do kościoła”.

Również do chrześcijaństwa, ale z zupełnie innej perspektywy odwoływał się najgłośniejszy wówczas przeciwnik otwartych granic, Viktor Orbán. To reprezentant zupełnie innej, do bólu pragmatycznej chadecji. Kiedy członkowie Fideszu mówią o chrześcijaństwie, mniej mają na myśli etykę czy nadprzyrodzoność, ale dziedzictwo kulturowe. Raczej fundament porządku społecznego niż drogowskaz dla codziennych wyborów i decyzji. Jest to coś zresztą mocno zakorzenionego w węgierskiej tradycji i języku. Jak mówił w udzielonym „Teologii Politycznej” wywiadzie prof. Miklós Cseszney: *określenie „chrześcijanin” na Węgrzech wydaje się być raczej zaprzeczeniem niż afirmacją: w XX wieku oznaczał nie-żydów i nie-komunistów, a w XXI wieku, zwłaszcza w obliczu kryzysu migracyjnego, nabrał znaczenia jako nie-muzułmanie i ludzie nie-postępowi. Orbán wspiera historyczne kościoły chrześcijańskie (katolickie, luterańskie, kalwińskie, unitarne), ponieważ postrzega je jako instytucje, które mogą służyć jego interesom politycznym, i broni społeczności żydowskiej bardzo dbając, by nie było żadnego posądzenia o antysemityzm. (...) węgierski przywódca postrzega kościoły jako ważne instytucje, które generują spójność społeczną i Orbán naprawdę docenia judeochrześcijańskie dziedzictwo naszej cywilizacji, niezależnie od głębi jego osobistej wiary.*

*Jeżeli jakaś z biblijnych scen
przewijała się wśród
codziennych rozmów,
kształtowała wyobraźnię
przyszłej pani kanclerz, to
było nią wyjście Izraelitów z
Egiptu*

Tak jak dzieciństwo i
młodość Merkel
znajdowały się w
cieniu taty-pastora,
tak młodzieńczy
okres Orbana jest
silnie naznaczony
jego
antyklerykalizmem. I
nie wnikając w

duchowe rozterki obojga polityków, można chyba spokojnie patrzeć na nich jako na reprezentantów dwóch, najbardziej charakterystycznych modeli chadeckości. Różnice między nimi są aż nazbyt oczywiste, ciekawsze wydaje się wskazanie podobieństw. Zarówno dla Merkel jak i Orbana chrześcijaństwo zostaje całkowicie podporządkowane politycznemu celowi. A nawet czemuś więcej – samopoczuciu wspólnoty politycznej. Dostarczenia jej poczucia bezpieczeństwa i komfortu. Moralnego – jak w przypadku Niemców, przepracowujących latem i jesienią 2015 roku nazistowską traumę, albo cywilizacyjnego i politycznego w przypadku Węgrów, chroniących się pod chrześcijańskim parasolem przed burzami współczesności.

Zarówno Merkel jak i Orban mogliby odnaleźć się w alternatywie zarysowanej kilkadziesiąt lat temu przez Raspaila. Niemiecka kanclerz uczyła by tu swój naród zrezygnowanej *odwagi bycia biednym*, a węgierski premier odnajdywał w sobie *nieugiętą odwagę bycia bogatym*. Chyba, że w kategoriach biedy i bogactwa będziemy postrzegać kapitał moralny, wtedy rolę się zamienią. Niezmiennie jednak oboje są w swojej polityce do suchej nitki chadecy. Patrzą bowiem na przyszłość – tak samo z resztą jak Raspail – z perspektywy

nadchodzącego końca. Mają świadomość przemijania postaci tego świata, nieuchronnego zmierzchu. Pragną jedynie uczynić go możliwie jak najdłuższym.

Reprezentują dokładnie tą samą mentalność co pierwsi, powojenni chadecy. Tony Judt pisał o nich w książce „Powojnie”: *ci starzy ludzie, którzy odbudowywali zachodnią Europę, uosabiali kontynuację. W okresie międzywojennym panowała moda na to, co nowe i nowoczesne. Wielu ludzi – nie tylko faszyści i komuniści – uważało systemy parlamentarno-demokratyczne za dekadentkie, pogrążone w stagnacji, skorumpowane i niezdolne realizować zadań nowoczesnego państwa. Wojna i okupacja rozwiązała te złudzenia, jeśli nie wśród intelektualistów, to wśród ogółu wyborców. W zimnym świetle pokoju nudne kompromisy konstytucyjnej demokracji nabrały atrakcyjności.*

Chadecka wyobraźnia jest więc ze swej natury niezwykle mieszczańska. Zmieniają się tylko okoliczności, ale podstawowy impuls – „umierać, ale powoli i w możliwie komfortowych warunkach” – pozostaje niezmienny. Jest ona filozofią polityczną zmierzchu. Wychyloną ku przeszłości, kurczowo trzymającą się status quo.

Miłosierny Samarytanin ponownie odczytany

Pytanie o chadecję wymaga przede wszystkim wcześniejszego postawienia kwestii chrześcijańskiej wyobraźni. Jest ona obecnie zamknięta między scyllą moralizującej przypowieści (Merkel) a charybdą zimnego, pragmatycznego projektu (Orban). Jedyne

rozwiązaniem łączącym obie te perspektywy – etykę i cywilizację, moralność i politykę – jest potraktowanie przypowieści i historii biblijnych nie jako moralizatorskich czytanek, ale właśnie przypowieści. Odczytanie ich w sposób, w jaki czynili to Ojcowie Kościoła. Wymowa etyczna zaczyna wówczas promieniować szerzej i otwiera perspektywę cywilizacyjną. Historia o synu marnotrawnym jest przecież czymś dużo więcej niż lekcją z rodzicielskiej wyrozumiałości, a przypowieść o talentach to nie tylko zachęta do pracowitości.

Najlepiej widać to na przykładzie najpopularniejszej chyba w ostatnich dekadach ewangelicznej przypowieści – historii o miłosiernym Samarytaninie. Przywoływana ona jest z resztą bardzo często w kontekście kryzysu uchodźczego, jako zobowiązanie chrześcijan do niesienia pomocy potrzebującym, niezależnie od ich pochodzenia i statusu społecznego. A przecież jest to przede wszystkim historia o Chrystusie i Kościele. Tak przynajmniej rozumie ją cała katolicka Tradycja, od Jana Chryzostoma przez Będę Czcigodnego po Tomasza z Akwinu.

Ci, którzy ominęli leżącego na pustyni nie udzielając mu pomocy to figura Prawa (Kapłan) i Proroków (Lewita), którzy przynosili świadomość grzechu, ale nie byli w stanie go odpuścić

Człowiek, który został napadnięty przez zbójców to symbol całej ludzkości, a zadane mu rany – grzechu pierwotnego. Podróżował on z Jerycha do Jerozolimy, czyli od

śmiertelności i przemijania do wiecznego pokoju. Pierwsze z tych miast

znajduje się w dolinie, drugie – na szczycie wzgórza. Każdy człowiek pielgrzymuje przez „cienistą dolinę” do „wiecznego Jeruzalem”. Zbójcy to aniołowie ciemności, a pólżywy człowiek to stan ludzkości przed wcieleniem i śmiercią Chrystusa na krzyżu. Ci, którzy ominęli leżącego na pustyni nie udzielając mu pomocy to figura Prawa (Kapłan) i Proroków (Lewita), którzy przynosili świadomość grzechu, ale nie byli w stanie go odpuścić. Miłosiernym Samarytaninem jest z kolei Chrystus. Tak też z resztą niedługo przed męką zwracali się do Niego uczeni w piśmie – „ty jesteś Samarytanin i czarta masz”.

Opatrzanie ran winem i oliwą oznacza wylaną podczas męki krew (wino) oraz pocieszenie nadzieją dobra (oliwa). Gospodą, w której zostawiono rannego jest Kościół, dwa denary zostawione gospodarzowi – to przykazania miłości Boga i bliźniego. A zapowiedziany powrót to ponowne przyjście Chrystusa na świat, Apokalipsa i Sąd Ostateczny.

Tak odczytana przypowieść o miłosiernym Samarytaninie zachowuje cały etyczny bagaż jej współczesnej, mocno zbanalizowanej interpretacji. Zupełnie inaczej jednak kształtuje chrześcijańską wyobraźnię, od nowa układa hierarchię wartości i wskazuje chrześcijanom zupełnie inny, ostateczny cel życia. Etyka i cywilizacja nie oglądają się już za siebie, nie chodzi o przewyciężenie traumy z przeszłości czy utrzymanie dotychczasowego sposobu życia. Kierunkiem jest przyszłość i to ta ostateczna. Chrześcijański idiom w polityce przestaje być synonimem poczucia zmierzchu i upartego podtrzymywania status quo, a staje się źródłem radykalnej nadziei.

Może więc i chadecja rzeczywiście jest skazana na śmietnik historii. Ale chrześcijańska polityczność ma zupełnie inny cel podróży. Wędrująca między Jerychem a Jerozolimą, spoglądać powinna zawsze odważnie w przyszłość.

Jan Maciejewski

Jan Maciejewski – (ur. 1990 r. w Mysłowicach) były redaktor naczelny kwartalnika „Pressje”, obecnie stały felietonista i współpracownik dziennika „Rzeczpospolita” i magazynu weekendowego „Plus Minus”.



Ministerstwo
Kultury
Dziedzictwa
Narodowego
i Sportu.



Sfinansowano przez Narodowy Instytut
Wolności - Centrum Rozwoju
Społeczeństwa Obywatelskiego
ze środków Programu Rozwoju
Organizacji Obywatelskich
na lata 2018 – 2030

